

Szanowni Czytelnicy,

często powtarzane jest zdanie *André Malraux* (1901–76), francuskiego pisarza i eseisty, że „XXI wiek będzie religijny/duchowy albo nie będzie go wcale”. *Ma się ku schyłkowi druga dekada tego stulecia i każdy przyzna, że – istotnie – trudno jest żyć człowiekowi bez wiary: w spełnienie marzeń, szczęście w przedsięwzięciu, wygrany los. Przeważająca część Ziemi wierzy jednak głębiej – w Porządek Nadprzyrodzony; religia bowiem jest związana z ludzkim losem od zawsze. Także na poziomie instytucjonalnym, Kościołów i dogmatów, nic nie stygnie, nie zamiera. Katołicy spierają się m.in. o etykę seksualną, celibat księży, pozycję laikatu, w tych miesiącach emocje rozpala synod dla Amazonii, którego ustalenia mogą zaważyć na przyszłym kształcie Kościoła rzymskokatolickiego. Wśród protestantów rosną w siłę ewangelikalowie, „osobiście nawróceni”, kontestujący często tradycję ewangelickich Kościołów głównego nurtu; w szczególny sposób dają oni o sobie znać m.in. na politycznej mapie USA. Nie zanikają napięcia między wyznawcami różnych nurtów islamu, tak jak nie gasną obawy wobec islamskiego fundamentalizmu, napędzane przy okazji przez kryzysy społeczne i ksenofobów. No i nie maleje liczba osób poszukujących metafizyki poza klasycznymi ramami religijności. Dlatego zdecydowaliśmy się na wznowienie „Niezbędnika” sprzed 10 lat – z korektami i uzupełnieniami (kilka artykułów zostało napisanych na nowo). W pierwszym rozdziale przedstawiamy podstawowe zagadnienia dotyczące historii religii i sporów o religię, w dwóch następnych prezentujemy założycieli, proroków, liderów oraz najważniejsze Kościoły i wyznania, w czwartym zgromadziliśmy artykuły publicystyczne dotyczące gorących tematów związanych z obecnością religii w życiu społecznym. Całość uzupełniamy zestawem map.*

Jerzy Baczyński, redaktor naczelny POLITYKI

Leszek Będkowski, redaktor wydania

Z WIARĄ I BEZ WIARY

KOSMOS RELIGII	4
ZEGAR WIARY	8
SKĄD WZIĄŁ SIĘ BÓG?	12

PRZEWODNICY

JEZUS I BUDDA: WĘDROWCY PRAWDY	16
PAWEŁ, ZAWODNIK JEZUSA	20
MOJŻESZ MAJMONIDES	24
MUHAMMAD: PIECZĘĆ PROROKÓW	26
LUTER: BUNTOWNIK Z PRZYPADKU	31
KALWIN REFORMATÓR	36
DYSKRETNY UROK KONFUCJUSZA	41

OBLICZA RELIGII

WŚRÓD APOKRYFÓW I OJCÓW KOŚCIOŁA	46
ROZMOWA Z KS. PROF. MARKIEM STAROWIEYSKIM	
POD ZNAKIEM MENORY	50
DRUGIE PRAWO	54
CERKIEW BEZ MOSKWY	58
GRA W ZIELONE	62
HINDUIZM: WIECZNE PRAWO	68
NIRWANA, KOD DOSTĘPU	73
NOWA ERA PO PRZEJŚCIACH	76

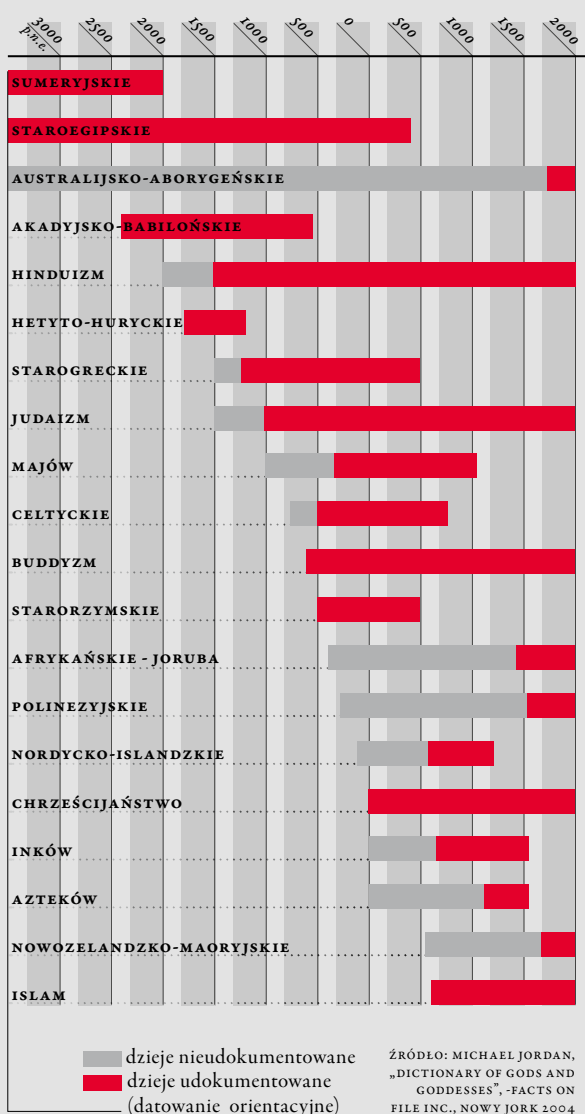
GORĄCE TEMATY

VATICANUM II: OKNA OTWARTE	80
LEFEBRYŚCI. ISKRY SCHIZMY	84
BÓG KOBIET	90
JAN PAWEŁ II: RYSY NA SPIŻU	95
FRANCISZEK: CICHĄ REWOLUCJĄ	98
KOŚCIOŁ DONALDA TRUMPA	101
RUCHY ZIELONOŚWIĄTKOWCÓW	106
MIEDZY BOSKIM A CESARSKIM	108
AUSCHWITZ. GRÓB BOGA	112
GDZIE KAPŁANÓW SZEŚCIU...	116
CZAS ZACHEUSZY	121
MAPY	126

KOSMOS RELIGII

ŚWIAT RELIGII JEST JAK
DŻUNGLA DARWINA: TRWA
W NIM NIEUSTANNA WALKA
O PRZETRWAŃCIE

KALENDARIUM NAJWAŻNIEJSZYCH RELIGII I KULTUR



ADAM SZOSTKIEWICZ

Friedrich Nietzsche, wróg chrześcijaństwa, tej „religii niewolników”, zasłynął powiedzeniem: „Bóg umarł”. Odpłacono mu pięknym za nadobne: „Nietzsche umarł. Podpisano: Bóg”. A jednak nie brakuje poważnych autorów – także kościelnych – którzy stawiają pytanie, czy chrześcijaństwo przetrwa. Książkę pod takim tytułem wydał niemiecki socjolog religii Franz-Xavier Kaufmann, wykładowca renomowanych uczelni katolickich.

Weszliśmy w XXI w. z bojażnią i drżeniem: religie nie osłabły, raczej eksplodowały, ale czy można się z tego cieszyć? W skali globu mamy wojnę z nienawidzącymi Zachodu islamskimi ekstremistami, załamuje się ruch ekumeniczny, a Kościołem katolickim wstrząsa seria kryzysów – od sporu o znaczenie soboru watykańskiego po afery na tle seksualnym. Religie pokazują fanatyczną twarz. Żeby zastanowić się nad przyszłością chrześcijaństwa, a rysuje się ona dramatycznie, warto najpierw zrewidować kilka wyobrażeń – nazwijmy je mitami – dotyczących religii we współczesnym świecie.

MIT OMSZAŁYCH SKAŁ: RELIGIE SĄ PIEZMIENNE

Nie istnieje nic takiego jak religijne monolity. Nie ma jednego chrześcijaństwa, islamu, buddyzmu. Świat religii jest ciągle w ruchu i przemianie. Dwa tysiące lat temu mała sekta wyznawców Jezusa mogła się wydawać żydowskiemu ortodoksom efemerydą. Kiedy w 1517 r. Marcin Luter wystąpił z 95 tezami przeciwko papieskim odpustom, kto mógł przypuszczać, że otwiera on nową epokę w historii zachodniego chrześcijaństwa? W połowie XIX w. niektórym wydawało się, że po islamie nie powstanie już żaden znaczący, zorganizowany ruch religijny. Tymczasem już wtedy rodziły się nowe, które funkcjonują do dzisiaj – na przykład bahaizm i mormoni. Kościół katolicki po II Soborze Watykańskim różni się od przedsoborowego tak jak świątynia gotycka od rokokowej.

Nowe ruchy religijne zwykle budziły reakcję pogardliwą – rzymscy intelektualiści uważali chrześcijaństwo za wiarę w zabobony i nic więcej, w pierwszych wyznawcach islamu widziano garstkę nieokrzestanych pustynnych Arabów. W czasach współczesnych amerykański protestancki establishment religijny wyśmiewał ruch zielonoświątkowców – dziś jedną z najbardziej dynamicznych wspólnot wiary na świecie – a komunistyczne władze Chin z przerażeniem patrzyły, jak w ciągu kilku lat miliony ludzi przyciągnął ruch Falungong. W powojennej Japonii nowe ruchy religijne mnożyły się w takim tempie i tylu wydaniach, że tamtejsi badacze mówili o religijnej gorączce złota. Coś z tej gorączki przeżywają także społeczeństwa wychodzące z komunizmu, zwłaszcza w krajach poradzieckich.



▲
JHWH,

najstarsza znana
inskrIPCja
imienia Jahwe,
tetragram
z IX w. p.n.e.

Życie religijne nie znosi próżni – tam gdzie rządy zwalczały zorganizowane religie i mocno osłabiły tradycyjne wyznania, pleni się bujnie „dzikie” sacrum: astrologia, magia, cudowni uzdrowiciele, a także sekty i bractwa. W reakcji na odreligijnienie – wszystko jedno z jakiej przyczyny – rozwijają się twarde formy religijności, zwane potocznie fundamentalizmami lub sektami. U nas forpocztą takiego prądu są wyznawcy ojca Rydzyka i ks. Jankowskiego. „Fundamentalizm – pisze Kaufmann – czyni życie prostszym, izolując zarazem od ludzi mających inne przekonania”.

Ludzie Zachodu nie zdają sobie sprawy, jak wielobarwna i dynamiczna jest mapa religijna reszty świata. Wiemy zwykle tyle, ile zobaczymy w telewizji lub na ulicach wielkich miast – wyznawcy Hari Kriszna, sekty Moona, New Age, scjentolodzy, neopoganie. A tymczasem z Pakistanu wyszła sekta ahmadystów, której założyciel podawał się za nowego proroka odnowiciela islamu (8 mln wyznawców), z Indii – ruch Światowego Uniwersytetu Duchowego Brahma Kumari (pół miliona wyznawców), z Wietnamu – synkretyczny ruch Cao Dai (3 mln), z Japonii – buddyjska międzynarodówka Soka Gakkai (18 mln), z Brazylii – ruch Umbanda (20 mln), łączący afrykańską wiarę w duchy i czary z katolicyzmem.

Nikt nie wie, jak ostatecznie potoczą się losy nawet największych Kościołów i wyznań, jakie czekają je jeszcze wyzwania, rozłamy, kryzysy i odnowy – ale na jakieś próby zostaną wydane i wyjdą z nich zmienione, a może już się nie podniosą. Tak jak przepadła starożytna religia Rzymian i Greków lub potężne niegdyś ruchy gnostyczne, które stoczyły z Kościołem zażartą walkę o rząd dusz.

Pisarz Arthur C. Clarke, autor słynnej „Odysei kosmicznej: 2001”, fantazjował, że za dwa tysiące lat znikną wszystkie stare religie, bo się całkowicie skompromitują. Ale nawet Clarke nie wyobrażał sobie ludzkiego świata bez jakichś wyższych sił, które nim kierują: według niego tymi opiekunami będą nieśmiertelni – wcielenia czystych energii bytujące w osobnym, wyższym Wszechświecie – trochę tak jak w filmie „Matrix”.

Z tego, że religie się przepoczwarzają, dzielą, pączkują, giną i powstają i że żadna wielka religia nie jest monolitem, nie wynika, iż zaniknie sama potrzeba religii. Tylko jakiej?

MIT ŁABĘDZIEGO ŚPIEWU: RELIGIE SKAZANE SĄ NA ZAPIK

Amerykański socjolog Peter Berger przewidywał (zatroskany) przed laty, że w XXI w. ludzie religijni będą samotnymi wysepkami w oceanie niewiary. Co najmniej od Oświecenia forsowano pogląd, że religia w zderzeniu z rozumem, nauką, techniką – musi odejść. Tak jak w zamierzchłej przeszłości religie monoteistyczne wyparły wiarę w czary, tak teraz te systemy wierzeń ustąpią miejsca światopoglądom, które nie potrzebują religijnych odpowiedzi.

Na razie wyznawcy tej teorii – że w miarę postępów nauki i cywilizacji techniczno-konsumpcyjnej religia będzie wyczerpywała siły oddziaływania – wydają się nie mieć racji. Jest jakby odwrotnie: im bardziej rozwija się rynek wiary (podobny do supermarketu, po którym można chodzić i wybierać sobie wyznanie), tym większa, zgodnie z prawem popytu, jest podaż religijnych „produktów”. Jak to w markecie, nie muszą one być długiej trwałości i wysokiej jakości, ale póki znajdują nabywców, nie znikną z duchowych półek.

Tradycyjne religie i Kościoły nie są tym stanem rzeczy zachwycone, ale ponieważ utraciły dawne możliwości kontroli, muszą się pogodzić z taką sytuacją. Podobnie też, jak w prawdziwej gospodarce rynkowej, sam fakt istnienia coraz szerszej oferty duchowej stwarza presję konkurencyjną: stare wspólnoty wyznaniowe nie mogą ignorować wpływu kultury masowej i innych religijnych rywali, chyba że wybierają świadomie głęboką izolację od nowoczesności, jak na przykład gminy amerykańskich amiszów.

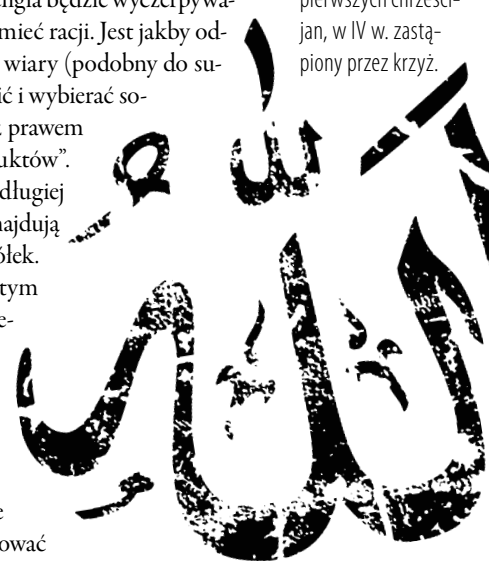
Zwykle jednak robią ustępstwo, a nawet przechwytyują pewne wyznalazki i mody, by je wykorzystać do własnych celów misyjnych. Tu mistrzem okazuje się Kościół katolicki, który namiętnie posługuje się komputerem i Internetem, a od czasu pontyfikatu Jana Pawła II skutecznie używa też telewizji i masowych zgromadzeń utrzymanych w konwencji wielkich show popkultury do rozbudzania emocji i przekazywania treści religijnych. Z Kościołami chrześcijańskimi ścigają się dziś w sieci muzułmanie.

Wyścig trwa także w demografii. Można dyskutować z interpretacjami statystyk, ale pewne trendy są jednak raczej poza dyskusją. Według World Christian Encyclopaedia, jeśli nie wydarzy się jakiś wielki kataklizm naturalny czy historyczny, należy przewidywać, że ok. 2050 r. liczba chrześcijan (czyli osób ochrzczonych w którymś z wielu Kościołów i ruchów chrześcijańskich lub wyznających jakąś wersję chrześcijaństwa) sięgnie 3,5 mld – w tym katolików rzymskich 1,6 mld, podczas gdy muzułmanów – 2,3 mld. Ogólna liczba niechrześcijan na świecie wyniesie 5,9 mld, czyli przewyższy prawie dwukrotnie liczbę chrześcijan. Religie niechrześcijańskie konkurują z chrześcijaństwem za pomocą kołyski, dotyczy to zwłaszcza świata islamu.

Drugim potężnym czynnikiem działającym na niekorzyść zorganizowanego chrześcijaństwa jest zmiana, jaka zaszła w mateczniku tej religii – Europie. W 2000 r. londyński „Times” ogłosił wyniki sondażu dotyczącego systemu wartości wyznawanych przez wchodzącą w dorosłe życie brytyjską młodzież: aż 77 proc. ankietowanych

▲
Ichthys (ryba)

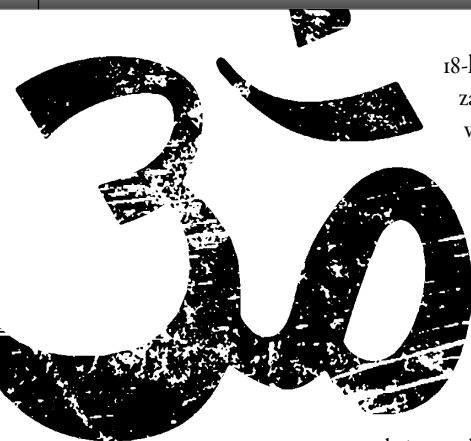
– słowo i znak
pierwszych chrześcijan, w IV w. zastąpiony przez krzyż.



▲
Allah – imię
Boga Jedyne-
go, według Koranu
tożsamego z Bogiem
Abrahama, Izaaka
i Jakuba.

Mantra **Om (Aum)** – najświętsza sylaba hinduizmu. Dźwięk *omkara*, występujący ▼ w Wedach, jest pierwotnym hymnem.

Yá Bahá'u'l-Abhá
(O Chwało Najchwalebniejszego),
największe imię bahaizmu.



18-latków zadeklarowało, że nie czują się związani z żadną konkretną religią. Sondaż wywołał szok nawet w tolerancyjnej i od dawna żyjącej w pluralizmie Wielkiej Brytanii. Owszem, starsze generacje wciąż jeszcze przypisują się do jakiegoś Kościoła czy wyznania – choć nie oznacza to wcale, że praktykują – ale tym razem luka pokoleniowa jest szersza niż kiedykolwiek dotąd. To już przepaść. W większości społeczeństw europejskich można mówić o radykalnym zerwaniu ciągłości przekazu kulturowego w dziedzinie religii.

Wspomniany już socjolog religii Kaufmann stwierdza: „W przeciwieństwie do Ameryki, chrześcijaństwo Europy posiadało aż do wieku XIX charakter państwowo-kościelny lub też było monopolistyczne wyznaniowo”. Kiedy ten monopol przestał działać, więź wyznaniowa zaczęła pękać. W dyskusjach o przyszłości chrześcijaństwa często przytacza się przykład gorącej i żywej religijnej Ameryki (USA) na dowód, że religia nie musi słabnąć w nowoczesnym, wysoko rozwiniętym społeczeństwie. Ale to nie takie proste.

W Stanach Zjednoczonych od samego początku pilnowano ścisłego rozdziału państwa od Kościołów i nie tolerowano sojuszu ołtarza z tronem, zostawiając jednak pełną swobodę wyznania i sumienia indywidualnym obywatelom. W rezultacie obywatele sami wybierali Kościół, do jakiego chcieli należeć, i uważali to wręcz za swój obowiązek względem społeczeństwa. Na dodatek od początku działał wolny rynek religii, zmuszając wspólnoty wyznaniowe do zabiegania o wiernych i liczenia się z ich oczekiwaniami.

W Europie pluralizm religijny postrzegany był raczej jako zagrożenie, załazek konfliktów i faktycznie historię Europy znaczą krwawe wojny religijne. Dziś gorąca religijność Amerykanów jest w Europie traktowana ze wzruszeniem ramion – no cóż, może to jest dla nich dobre, my wolimy żyć inaczej, z Bogiem albo bez Boga, ale poza Kościołem. Coraz więcej Europejczyków w ogóle nie odczuwa potrzeby religijnego samookreślenia.

A kiedy słyszą o skandalach seksualnych czy finansowych w Kościele i próbach ich tuszowania, utwierdzają się tylko w słuszności swej postawy. I taki los dotknął jeden z najstarszych Kościołów katolickich w Europie – w Irlandii. Afery takie i otaczająca je katolicka „kultura milczenia” podcinają korzenie Kościoła nie tylko tam, lecz także w Austrii i w USA. Kiedy Irlandią wstrząsnęły skandale obyczajowe z udziałem duchownych, ponad 90 proc. tamtejszych katolików deklarowało, że nie wpłyną one na ich wiarę w Boga, ale zmieniają na pewno ich stosunek do Kościoła. Za jakiś czas przekonamy się, czy podobne skandale wywarły w Polsce podobny skutek.

Wybitny dostojnik Kościoła rzymskiego kardynał Paul Poupard przyznaje, że w Europie niewiara stała się zjawiskiem masowym.

W tak kiedyś katolickich krajach jak Belgia czy Francja odsetek ludzi nieprzyznających się do którejkolwiek religii sięga – odpowiednio – 37 i 43 proc. W mieszanej katolicko-protestanckiej Holandii – 54! W samych „papieskich” Włoszech 4 proc. określa się jako ateści, 14 proc. jako religijnie obojętni, a większość coraz rzadziej chodzi do kościoła. Nawet takim bastionom katolicyzmu jak Polska kardynał nie wróży bezproblemowej przyszłości: jak w innych społeczeństwach Europy spodziewa się on i u nas wzrostu wpływów „materializmu konsumenckiego”.

MIT RÓŻNYCH DRÓG PROWADZĄCYCH NA SZCZYT TEJ SAMEJ GÓRY: **RELIGIE WIĘCEJ ŁĄCZY, NIŻ DZIELI**

Religie dążą w zasadzie do tego samego, dialog między nimi jakiś się toczy i służy wzajemnemu poznaniu – może nadchodzi czas współpracy dla wspólnego dobra ludzkości i naszej planety – pocieszają się religijni ekumeniści. Ludzie znudzeni przesytem i jadalową rozrywką zwrócą się w końcu ku sferze ducha i to będzie zastrzyk nowych sił dla różnych wspólnot wiary.

Niestety, i to nie jest pewne. Młyny historii miały powoli, a w darwinistycznej dżungli religii walka o przetrwanie trwa w najlepsze (najgorsze?). Wielkie religie zorganizowane, a także deprecjujące tym kolosom po piętach lotne brygady nowych ruchów religijnych mają sprzeczne interesy: wszyscy chcą utrzymać i rozszerzyć swój stan posiadania. Religie może wiele łączyć, ale jeszcze więcej je dzieli i właśnie w tych „szczegółach” tkwi demon konfrontacji. To nieprawda, że wszystkie religijne drogi prowadzą na szczyt tej samej góry, gdzie czeka ten sam Bóg. Jeśli wszystkie miałyby prowadzić do Boga, to po co w ogóle się męczyć – wygodniej na własną rękę szukać drogi na skróty. „W istocie Bóg chrześcijan – napisał Felipe Fernandez-Armesto – jest »taki sam« jak Bóg muzułmanów i żydów czy też hinduistów i buddystów w stopniu tak niewielkim, że w ogóle nie warto o tym wspominać”.

Religie konkurują – wszystkie głoszą, iż są w posiadaniu prawdy – musi dojść między nimi do konfliktu, jeśli działają na tym samym terenie. Tylko w państwie liberalnym, gwarantującym ochronę wszystkim nielamiącym prawa grupom religijnym, udało się, i to też nie do końca, stępić to ostrze konfliktu. Temu samemu celowi służy ruch ekumeniczny i dialog międzyreligijny, znów wynalazki chrześcijańskiego Zachodu. Cel zbożny i pożyteczny, daleki jest jednak od osiągnięcia w skali globalnej.

Co z tego, że religie Księgi, judaizm, chrześcijaństwo i islam – mają wspólne korzenie i podobne zasadnicze przesłanie, kiedy w praktyce z tej wspólnoty nic nie wynika poza taktycznymi sojuszami, na przykład w sprawie aborcji czy homoseksualizmu? Głębie duchowe mistyki indyjskiej i chrześcijańskiej nie zapobiegły pogromom chrześcijan w Indiach. Zakaz zabijania nie powstrzymał ręki żydowskiego ekstremisty religijnego w Hebronie, który

Dżihad – wezwanie
do wzmocnienia
wiary i islamu.

wystrzelał Arabów modlących się do wspólnego patriarchy obu religii, Abrahama. Nie powstrzymuje też palestyńskich terrorystów mordujących niewinnych Żydów.

Religie, w połączeniu z polityką mobilizującą ludzi hasłami obrońcy tożsamości i „jedynej prawdy”, mogą tworzyć kombinację zabójczą. Ludzie dobrej woli zwykle pomijają tę smutną prawdę: wołają widzieć w religii siłę budującą, pomniejszając potencjał destrukcji. Oklaskują to, co dzieje się na scenie – spotkania przywódców, konferencje teologów i działaczy, akcje pokojowe i humanitarne – nie zaglądają za kuliszy. A tam wciąż kielkuje nienawiść. Podziały rozdierają nie tylko społeczności żyjące pod jednym państwowym dachem – muzułmanów i hinduistów w Indiach, chrześcijan i muzułmanów w Sudanie czy Nigerii, katolików i protestantów w Irlandii Północnej, prawosławnych i katolików na Bałkanach czy prawosławnych i muzułmanów na Kaukazie – ale przebiegają także wewnątrz tych samych wspólnot wiary.

Najbardziej brzemiennie w skutki procesy zachodzą w Trzecim Świecie. Za 20 lat trzy czwarte katolików będzie w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej – to oni nadadzą kształt Kościołowi powszechnemu. Kłopot w tym, że ich wyobrażenia o chrześcijaństwie i Kościele zderzą się z nadziejami katolików Europy i USA, a ściśle – z marzeniami białych katolickich liberałów. Bez cienia przesady można powiedzieć, że oba te odłamy oddalają się od siebie niczym kawały kry na wzburzonych wodach. Ale kra Europy i USA jest dużo mniejsza i cieńsza niż kra Trzeciego Świata.

Liberalowie chcą dalszych reform Kościoła: szerszego otwarcia na świat współczesny, demokracji wewnętrznej, przejrzystości funkcjonowania, demontażu watykańskiej biurokracji, wyświęcania kobiet, dopuszczenia możliwości zawierania małżeństw przez duchownych, daleko posuniętej tolerancji dla osób homoseksualnych, dopuszczenia sztucznej antykoncepcji. Sytuacja Kościoła jest podobna do tej z 1515 r., zbliża się nowa reformacja – przekonują. To aluzja do groźby buntu przeciwko Watykanowi – jeśli Kościół się nie zmieni, katolicyzm pęknie i zostanie zepchnięty do lamusa historii.

Nie takich jednak zmian oczekuje Trzeci Kościół – ten, do którego należy demograficzna przyszłość katolicyzmu, czyli chrześcijanie Trzeciego Świata. Ci, którzy ostrzegają przed drugą reformacją, zapominają, że Kościół rzymski odpowiedział na bunt Lutera i innych przywódców protestantyzmu soborem trydenckim i kontrreformacją. Nie była to zresztą tylko prosta obrona, katolicyzm uruchomił wszystkie siły, by sprostać wyzwaniu i odbudować pozycję, zmienił się głęboko i trwale.

Teraz taka kontrreformacja może wyjść z Trzeciego Kościoła. Katolicy Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej szukają czegoś całkiem innego. Są bardzo konserwatywni doktrynalnie i obyczajowo, szanują hierarchię i autorytet przywódców, których uważają za proroków obdarzonych szczególną siłą, a nie tylko za zarządców. Ich wiara jest mocno związana z emocjami, o czym świadczy bujny rozwój kultu maryjnego od Meksyku po Koreę.

Biblię czyta się tam inaczej: jeśli Jezus wypędzał demony z ludzi, znaczy, że są demony, są opętani i są osoby mające moc ich wypędzania w imię Jezusa (przypomnijmy głośną sprawę czarnoskórego bp. Milingo, który zasłynął małżeństwem z wyznawczynią sekty Moona i seansami uzdrowicielskimi). Biblia kończy się Apokalipsą: szykujemy się więc na koniec świata. Jezus zapowiadał przyjście tysiącletniego królestwa: gotujemy się do walki w obronie biednych i wydziedziczonych. Niejeden biskup Trzeciego Kościoła oddał życie za swą owczarnię. Trzeci Kościół nie widzi niczego złego w mieszanii polityki z religią ani w dominacji chrześcijaństwa w życiu publicznym.

EGZORCYZMY TOTEMÓW, CZYLI RELIGIJNY WIEK XXI

Kosmiczna różnica dzieląca postawę chrześcijan Trzeciego Świata od ich liberalnych współwyznawców na Zachodzie nie dotyczy tylko katolicyzmu. Gwałtowny spór o stosunek do homoseksualizmu – po wyświęceniu na biskupa czynnego homoseksualisty w amerykańskim Kościele episkopalnym – zagroził rozłamem w światowej wspólnotie anglikańskiej. Jeszcze bardziej wymowna była sprawa anglikańskiego arcybiskupa Singapuru Mojżesza Taya. Kiedy w latach 90. odwiedził on Kanadę, czyli zamożną demokrację liberalną typu zachodniego, zainteresował się indiańskimi totemami. To, co dla nas jest turystyczną atrakcją, dla azjatyckiego dostojnika chrześcijańskiego było zgorszeniem: to diabelskie bożki wystawione na widok publiczny. Ku przerażeniu kanadyjskich anglikanów arcybiskup postanowił odprawić egzorcyzmy w indiańskim rezerwacie. Dla kanadyjskich chrześcijan egzorcyzmy to niedorzeczny przeżytek średniowiecza. Stosunki z miejscowymi Indianami, pierwotnymi mieszkańcami ziem Kanady, starają się układać jak najlepiej, w głowie by im nie powstało traktować totemy jako dowód działania Antychrysta.

Oto przedsmak konfliktów we wspólnotach chrześcijańskich, kiedy Trzeci Kościół – wszystko jedno, katolicki czy protestancki – zdobędzie wyraźną przewagę, za czym będą przecież musiały pójść zmiany układu sił w kościelnych strukturach władzy i programach działania.

Gdyby na czele Kościoła katolickiego lub Wspólnoty Anglikańskiej stanął ktoś pokroju abp. Taya, musiałoby to odmienić oblicza tych organizacji. Trzeci Kościół powitałby takie zmiany z entuzjazmem, reszta chrześcijańskiego świata – niekoniecznie. Liberalni katolicy nie tracą nadziei, że nadejdzie czas nowego Jana XXIII, który zwołał III sobór watykański, by otworzyć Kościół znacznie szerzej na świat współczesny.

Byłoby dla nich gorzką ironią historii, gdyby taki sobór zwołał papież z Afryki lub Ameryki Łacińskiej pod hasłem radykalnego powrotu do źródeł, odrzucającego kompromis z cywilizacją liberalną. A na taką właśnie przyszłość chrześcijaństwa się zanosi.

Stela Meszy, płyta z tetragramem JHWH, odkryta w 1868 r. w Dibon (Jordania), obecnie w Luwrze.



ZEGAR WIARY

JAN PAWEŁ II LUBIŁ POWTARZAĆ, ŻE PADCHODZI WIOSNA KOŚCIOŁA. WIOSNA? CZY PO DWÓCH TYSIĄCACH LAT ISTNIENIA CHRZEŚCJAŃSTWA MOŻNA MÓWIĆ O WIOŚNIE?

ADAM SZOSTKIEWICZ

Wyobraźmy sobie zegar historii, na którego tarczy jedna minuta oznacza stulecie. Wtedy chrześcijaństwo zaczęłoby się dwa dziesięć minut temu – całkiem niedawno. A szok rozłamu w chrześcijaństwie zachodnim, czyli powstanie Kościołów protestanckich w XVI w., zdarzył się zaledwie pięć minut temu! II Sobór Watykański, najważniejsze wydarzenie katolickie XX w. – pół minuty temu. Przy takim ujęciu jesteśmy rzeczywiście gdzieś u początków drogi. Trudno o większy kontrast z podejściem części badaczy, którzy od XIX w. (mniej więcej półtorej minuty temu) głoszą śmierć Boga i agonię chrześcijaństwa.

Liczy mówią coś innego. Owszem, w Europie Zachodniej i Północnej kościelne statystyki są marne. W Wielkiej Brytanii na przykład liczba praktykujących katolików jest dziś wyższa niż praktykujących anglikanów, czyli członków Kościoła narodowego, kiedyś zdecydowanie większościowego i cieszącego się do dziś statusem wyznania państwowego. Ale pustki w świątyniach Europy Zachodniej są wyjątkiem w skali globu. Na świecie chrześcijaństwo wciąż jest numerem jeden wśród wszystkich religii, skupiając – według różnych badań – od 1,5 do prawie 2 mld wyznawców. Największym zaś Kościołem chrześcijańskim pozostaje Kościół rzymskokatolicki, zwany też przez swych członków powszechnym (co jest polskim odpowiednikiem greckiego wyrazu katolicki). Utożsamia się z nim około miliarda mieszkańców na sześciu kontynentach. Najwięcej – w Ameryce Łacińskiej (ok. 0,5 mld), najmniej – w Australii z Oceanią (ok. 10 mln).

JAK CHRZEŚCJAŃSTWO PODBIJAŁO ŚWIAT

Są to wspólnoty młode. Popatrzmy znów na nasz zegar: ekspansja chrześcijaństwa z Galilei, gdzie narodziło się ono z łona religii żydowskiej, zaczęła się od misyjnych wędrówek świętego Pawła, Apostoła Narodów, w I w. n.e. Po trzech–czterech minutach nowa religia, mimo początkowych prześladowań, objęła basen Morza Śródziemnego i sięgnęła najdalszych krańców Imperium Rzymskiego – Wysp Brytyjskich.

Na czym polegała atrakcyjność nowej religii? Wyznawcy państwowej religii rzymskiej mówili z przekąsem: No, patrzcie, jak ci chrześcijanie się miłują – i tra-

fiali niechęć w sedno. Mówiąc językiem współczesnym, chrześcijaństwo czerpało swą siłę z tego, że chciało być religią solidarności społecznej, otwartą dla bogatych i biednych, uczonych i maluczkich, oraz z tego, że przekraczało podziały narodowe i kulturowe, otwierając się na pogan i żydów. Niosło więc przesłanie prawdziwie rewolucyjne – przesłanie etycznego uniwersalizmu (miłość bliźniego) i stąd do dziś może trafiać do ludzi na całym globie.

Pierwszym monarchą, który w IV w. przyjął chrześcijaństwo – jeszcze przed rzymskim cesarzem Konstantynem – był król Armenii. Do Indii chrześcijaństwo dociera prawdopodobnie już w I w.; do Chin – być może już po około pięciu minutach. Naturalnie nie mówimy tu o wielkich rzeszach nawróconych, a tylko o przyczółkach czy wręcz pojedynczych misjonarzach, którzy dotarli na antypody ówczesnego świata chrześcijańskiego.

Było raczej tak, że chrześcijaństwo falowało – posuwało się i cofało na religijnej mapie globu. Zwłaszcza odkąd wyrósł mu jeszcze młodszy konkurent: religia Mahometa, czyli islam. Jego gorący oddech chrześcijaństwo czuje odtąd na plecach. Islam wyparł je z Afryki Północnej, z części Azji wyparł budyzm, w wielu miejscach globu wyparł inne rdzenne lub wcześniejsze religie i ciągle się rozwija.

Wojny, podboje, upadki państw, trudności komunikacyjne sprawiały, że ziarno chrześcijaństwa posiane w różnych miejscach wzrastało, ale i z czasem więdło. W niektórych punktach znalazło się w izolacji, lecz trwało – na przykład w Egipcie i Etiopii. Te fałujące dzieje chrześcijaństwa zostawiły ślad w postaci ogromnego bogactwa różnych tradycji, zwyczajów i liturgii. Z każdą kolejną falą chrześcijaństwo sięgało jednak trochę dalej, aż w epoce wielkich wypraw morskich, otwierających szlak podbojom Europy w Nowym Świecie, czyli obu Amerykach, zaczęło budować swą prawdziwie światową potęgę.

Proces ten trwa do dziś. Dopiero w XX w. (minutę czy półtorej temu) w każdej większej grupie etnicznej czy kulturowej występującej na Ziemi można już znaleźć wspólnoty chrześcijańskie różnych wyznań. Sto lat temu w Afryce było 10 mln chrześcijan, na początku XXI w. – 200 mln. To w XX w. chrześcijaństwo stało się religią globalną.

OD PRZEMOCY DO EKUMENY

Nie obeszło się bez przemocy. Nawracano ogniem i mieczem, zbiorowymi chrztami. Europejska dominacja polityczna, militarna i cywilizacyjna w epoce kolonialnej nie zostawiała wiele miejsca pielęgnowaniu wiar rodzimych, uważanych przez kolonizatorów za barbarzyńskie. W XVI w. hiszpański zakonnik uznał za dzieło szatana księgi Indian Majów i wydał rozkaz spalenia ich na stosie. Ale znaleźli się też już wówczas chrześcijanie – obrońcy podbijanych ludów, protestujący przeciwko przemocy i zmuszaniu ich do przyjmowania nowej religii ze strachu o życie. Papież Paweł III zabronił wtedy (1537 r.) zamieniania Indian w niewolników. Ale nadal powszechne było chrzczenie hurtem Afrykanów, czekających w kajdanach na transport statkami do kolonii portugalskich i hiszpańskich.

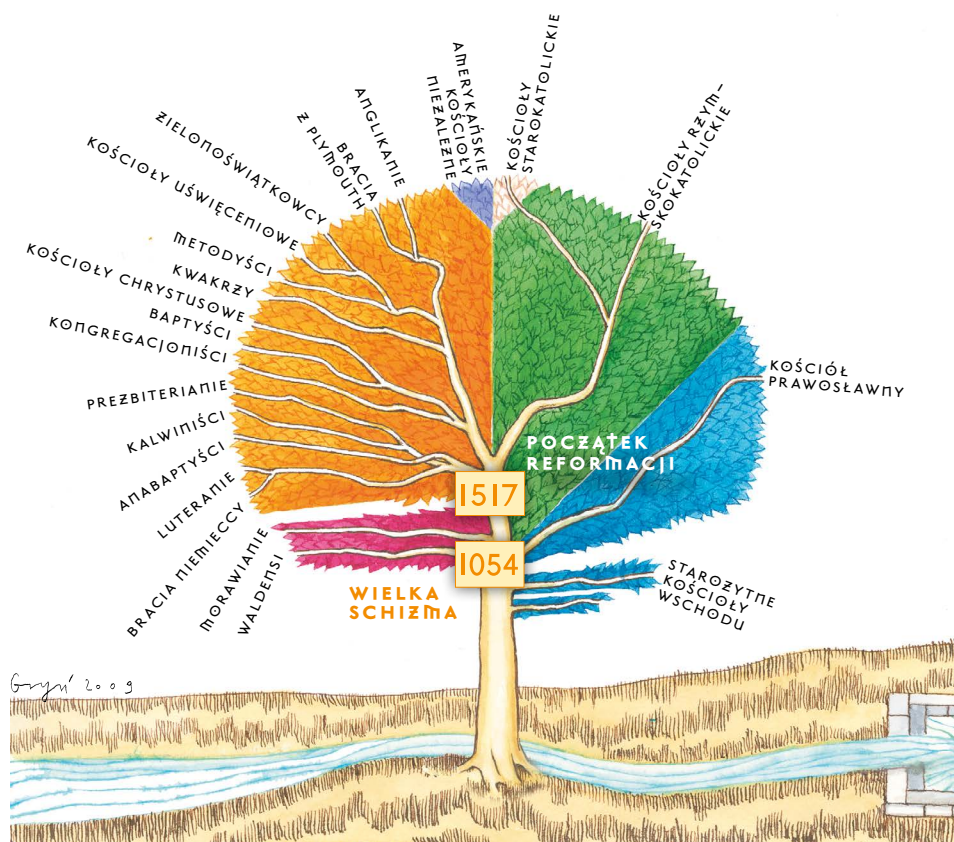
Niekiedy ekspansja trafiała na opór, czasem brutalny – jak w Japonii, gdzie na przełomie XVI i XVII w. doszło do masowych prześladowań tamtejszych chrześcijan, niekiedy krzyżowanych i zakopywanych żywcem; wśród tych męczenników znalazł się jezuita Wojciech Męciński. Państwo wydało zakaz wiary chrześcijańskiej obowiązujący aż do drugiej połowy XIX w. Kiedy później misjonarze pojawili się znów w Kraju Kwitnącej Wiśni, natrafili na japońskich chrześcijan, którzy w ukryciu trwali przez pokolenia przy tej wierze.

Ciekawe, że wysiłki misjonarskie w dalekiej Azji postawiły przed Kościołem problem, jak skutecznie docierać do ludzi wychowanych w kulturach o wiele starszych i często bardziej rozwiniętych duchowo niż ówczesne chrześcijaństwo. Włoski jezuita Matteo Ricci, XVI-wieczny apostoł Chin, postanowił, że trzeba możliwie jak najgłębiej wrosnąć w miejscową kulturę, byle zachować sedno wiary chrześcijańskiej. Nosił chiński ubiór, przybrał chińskie imię, poznał doskonale język, wiedzę i filozofię Chińczyków. Wraz z grupą misjonarzy odnosił niebywale sukcesy ewangelizacyjne. Ale kiedy zgodził się, by nawróceni na chrześcijaństwo Chińczycy oddawali nadal cześć Konfucjuszowi i duchom przodków, Rzym powiedział: dosyć. Kiedy papież Klemens XI zabronił obrządku chińskiego, doszło do krwawych rozruchów, a urażone władze cesarstwa zdelegalizowały chrześcijaństwo.

Tak przerwano niezwykle obiecujący i wybiegający w daleką przyszłość eksperyment, który dziś nazwalibyśmy inkulturacją chrześcijaństwa – prawie nikogo nie dziwi w naszych czasach widok papieża w indiańskim pióropuszu lub modlącego się o pokój z dalajlamą. Misjonarze Azji wypracowali załazek podejścia, jakie dziś jest powszechne w kontaktach chrześcijaństwa z innymi kulturami: poznajemy się we wzajemnym poszanowaniu tożsamości, szukamy tego, co łączy, głosimy Ewangelię wszystkim, którzy chcą jej słuchać, przymus i nacisk są wykluczone. Takie podejście zaczęło się przyjmować w Kościołach chrześcijańskich dopiero w XIX w.

Działo się to u szczytu światowej potęgi Europy. Dziś trudno w to uwierzyć, ale w 1815 r. Kościół katolicki miał wszystkiego 300 misjonarzy w świecie pozaeuropejskim, a w 1900 r. – ponad 6 tys. W tym samym roku na misjach protestanckich pracowało za to 16 tys. osób – Kościoły protestanckie były o wiele bardziej energiczne w tej dziedzinie. Dotrzymać im kroku próbowała też prawosławna Rosja, która słała misje głównie do krajów Azji.

Ta światowa ofensywa chrześcijańska nie była skoordynowana: trzy wielkie odłamy chrześcijaństwa działały na własną rękę i własnymi metodami. Pozyskiwały dusze, ale walczyły też o poszerzenie stref wpływów politycznych. Historyczne rozłamy w wielkiej rodzinie chrześcijańskiej wciąż dawały znać o sobie.



Pierwsi postawili krok ku współpracy we własnym gronie protestanci. To im zawdzięczamy ideę ekumeniczną. Za narodziny ruchu ekumenicznego uważa się kościelną konferencję w Edynburgu w 1910 r. Katolicy przez długie lata trzymali się z boku. Nie weszli początkowo do Światowej Rady Kościołów utworzonej w 1948 r. Dopiero w latach 60. przyłączyli się do ruchu ekumenicznego; kontakty zgęstniały i przyspieszyły za pontyfikatu Jana XXIII i po II Soborze Watykańskim.

Otwarte elity chrześcijańskie dostrzegały, że ruch ekumeniczny pomaga nie tylko głosić Ewangelię, ale także odbudowywać jedność wszystkich chrześcijan. Dla wierzących podział chrześcijaństwa jest przecież jak

Drzewo chrześcijaństwa



rozpad rodziny. Ale podobnie jak w rodzinie, przyczyny i skutki tego „skandalu”, widzi się często w tak różny sposób, że pojednanie wydaje się mrzonką.

TRZEJ BRACIA W CHRYSZTUSIE

Kiedy zwiedzałem Ławrę Poczajowską, słynne sanktuarium maryjne na Ukrainie pod Krzemieńcem, znalazłem tam ulotkę. Wyrysowano na niej drzewo wiary chrześcijańskiej. Pień gruby i mocny tworzyło prawosławie, od pnia odchodziły gałęzie – katolicyzm i kościoły reformacji, czyli protestantyzm. Przesłanie było zrozumiałe dla każdego, kto rzucił okiem na sugestywny rysunek i napisy cyrylicą: soki chrześcijaństwa płyną przede wszystkim pnem prawosławia. Katolik może czuć się zaskoczony: a więc prawosławni widzą nas jak młodszych braci?

Pierwsza wielka kłótnia w rodzinie wybuchła tysiąc lat temu, kiedy fatalny splot nieporozumień, intryg i ambicji doprowadził do trwałego rozłamu na Kościół zachodni (łaciński, katolicki) ze stolicą w Rzymie i wschodni (prawosławny, grecki) – ze stolicą w Konstantynopolu (Bizancjum, dzisiejszy Istanbuł). W 1054 r. Rzym i Konstantynopol obłożyły się wzajemnie ekskomunikami, uchylonymi w 1965 r. Różnice nie kończą się na brodach i żonach prawosławnych księży. Prawosławie (po grecku ortodoksja, wiara prawowita i prawidłowa) widzi siebie jako pełne i prawowierne rozwinięcie chrześcijaństwa. Uznaje ustalenia tylko pierwszych siedmiu soborów Kościoła, czyli powszechnych zgromadzeń biskupów, z których ostatni odbył się ponad 1200 lat temu. Sformułowano na nich doktrynę wiary chrześcijańskiej i z prawosławnego punktu widzenia nie ma tu nic do dodania. Bardzo zaszkodziło stosunkom, że tak zwani łacinnicy, czyli katolicy rzymscy, przyjęli w XI w., iż Duch Święty pochodzi „od Ojca i Syna” – prawosławni uznali to za naruszenie równowagi Trójcy Świętej.

Kościół katolicki do tych siedmiu soborów dodaje czternaście następnych – ostatnim powszechnym według chronologii katolickiej był II Watykański (1962–65). Ale ich ustaleń prawosławie nie uważa za wiążące. Nie uznaje więc np. dogmatu o nieomyślności papieża. O rozumienie prymatu papieża w Kościele toczy się od wieków może najbardziej zacięty spór między braćmi w wierze.

Zastrzeżenia co do papieża zgłosił też trzeci brat – Kościół protestancki, któremu początek dało wystąpienie zgorszonego mnicha Marcina Lutra. Oburzyło go handlowanie odpustami przez Kościół rzymski i w 1517 r. zaprotestował przeciwko tym praktykom. Odchodzenie przez ludzi Kościoła od cnót, które oficjalnie głosili, było wtedy tak powszechne, że sprzeciw Lutra okazał się kamykiem wywołującym lawinę. Ta lawina to ruch reformacji, który oznaczał drugi wielki rozłam w chrześcijaństwie – tym razem zachodnim.

Protestanci, zrzuciwszy jarzmo centralistycznego Rzymu, poszli drogą pełnej samodzielności swoich Kościołów. Tak jak prawosławni nie godzą się z określeniem papieża jako głowy Kościoła – głową jest Chrystus – i nie uznają jego nieomyślności (ogłoszonej przez I Sobór Watykański w 1870 r.). Inaczej niż katolicy i prawosławni, nie otaczają mistycznym kultem Matki Chrystusa. Różnic doktrynalnych jest więcej – na przykład kobiety są dopuszczane do kapłaństwa, a więc i do godności biskupiej.

Może ważniejsze jest tutaj, że protestantyzm okazał się najbardziej wśród trzech braci otwarty na zmiany w świecie pozakościelnym, najbardziej demokratyczny i jednocześnie najmniej odporny na laicyzację. A po drugie, że to akurat właśnie w protestantyzmie, prócz ekumenizmu, powstał nowożytny fundamentalizm. Dla wielu – zielsko na łące chrześcijaństwa.

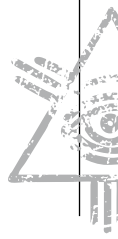
DZIKIE ZIELE FUNDAMENTALIZMU

Fundamentalizm wystąpił w początkach XX w. jako reakcja na liberalny nurt protestantyzmu. Paradoks jest pozorny. W głównych Kościołach protestanckich jest więcej wolności w teologii, dyskusjach i zarządzaniu niż w zhierarchizowanym Kościele rzymskim i w zamkniętych w sobie Cerkwiach. Musiała więc przyjść fala odwrotna. Wróćmy do fundamentów (stąd nazwa) naszej wiary – do Biblii rozumianej dosłownie, a nie rozwodnionej w niezliczonych komentarzach różnych mędrków – wołali fundamentaliści.

Opis stworzenia świata, historia święta, nauki Jezusa to nie żadne symbole i alegorie, tylko prawda, której trzeba się trzymać w życiu prywatnym i publicznym. Tak w rodzinie chrześcijańskiej pojawił się pryncypialny młokos, który postanowił starszych braci przywołać do porządku. I to on wydaje się dziś siłą szczególnie żywotną.

Bo jest tak, że w XXI w. fundamentalizm ma się dobrze, a nawet coraz lepiej. Kto zrozumie – dlaczego, ma ważny klucz nie tylko do analizy współczesnej kondycji religii, lecz także kondycji współczesnego świata. Matecznikiem nowożytnego fundamentalizmu – i jego głównym eksporterem – są Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Fundamentalizm ten ma wiele twarzy, wcieleń i odcieni: od słynnego w całym świecie pastora Billy’ego Grahama przez ruchy Moralnej Większości i Chrześcijańskiej Prawicy, po „powtórnie narodzonego w Chrystusie” byłego prezydenta Busha lub pastora Falwella, który w atakach 11/9 widział Bożą karę za moralny upadek Ameryki, grzeszącej aborcją i sodomią.

Religijna żywotność USA pasjonowała badaczy od dawna: oto w państwie, ściśle przestrzegającym rozdziału od Kościołów, w państwie, które czuje się do dziś meksjuszem wolności i demokracji, ludzie nadal masowo chodzą do kościoła – inaczej niż w Starym Świecie. W państwie wyrosłym z idei Oświecenia nie powtórzył się proces z Europy – ojczyzny Oświecenia, nie nastąpiła sekulary-



zacja. Gwarantowane przez republikę amerykańską swobody nie przerobiły obywateli na agnostyków i ateistów, nie przeszkadzały bujnemu jak nigdzie indziej rozwojowi wszelkich wiar, wyznań i Kościołów. I to do tego stopnia, że niektórzy badacze stawiają dość prowokacyjne pytanie, czy rosnące jak grzyby po deszczu Kościoły w USA można w ogóle uznać za chrześcijańskie?

Owszem, posługują się symbolami chrześcijańskimi, odwołują do Jezusa Chrystusa, ale czy w tych szklanych katedrach, gdzie miotają się kaznodzieje naśladowujący gwiazdy popkultury, zostało jeszcze cokolwiek z Ewangelii? To religia łatwa i przyjemna, odarta z metafizyki, za to bardzo praktyczna i społeczna, obiecująca szybkie gratyfikacje i dająca cudowne poczucie wspólnoty. I właśnie to działa dużo skuteczniej niż tradycyjne przekazy wiary. Zwłaszcza kiedy tradycyjne Kościoły przechodzą kryzys taki jak amerykański Kościół rzymskokatolicki, któremu seria skandali pedofilskich zadała straty chyba nie do odrobienia.

Nurt fundamentalistyczny idzie podobną ścieżką co amerykańskie Kościoły błyskawicznego szczęścia, ale uderza w tony mroczne, czego tamte raczej unikają. Karmi się silną w USA wiarą, że nawet największy grzesznik może się powtórnie urodzić, kiedy chwyci wyciągniętą specjalnie do niego dłoń Chrystusa. Jezus zbawia, każde słowo Biblii jest prawdziwe – kto twierdzi inaczej jest agentem Szatana. Widać od razu, jak atrakcyjna może być taka oferta dla ludzi, którzy nigdy nie będą mieli czasu ani ochoty na studiowanie subtelnych traktatów teologicznych, rozpraw filozofów i tomów sprawozdań z sympozjów i konferencji ekumenicznych. I jak jest groźna w tym, że podsyca społeczne podziały, dzieląc świat na swoich i obcych, przyjaciół i wrogów, synów światła i synów ciemności. Nad fundamentalizmem unosi się duch sekciarski, który każe się szykować do wojny z wszystkim, co mu zaprzecza.

Nie bez winy za taki stan rzeczy są zwolennicy radykalnego wyparcia religii z życia publicznego – wzmagają bowiem poczucie zagrożenia i izolacji w rzeszach wierzących, którzy czują się wykluczeni i nie rozumieją, dlaczego liderzy ich Kościołów robią rzeczy dotąd niespotykane – na przykład wyświęcają na biskupa aktywnego geja. Rośnie w nich poczucie, że to oni, a nie kościelne elity, przechowują depozyt wiary. „Fundamentalizm jest dziś istotną częścią współczesnego świata – pisze znawczyni tematu Karen Armstrong. – Wyraża on powszechnie odczuwane rozczarowanie, alienację, niepokój i gniew, czego żaden rząd nie może bezkarnie ignorować”. Dla jego wyznawców fundamentalizm jest wyzwoleniem od lęku przed nowoczesnością.

OFERTA BISKUPA HILARIOŃA

A ponieważ takie lęki i niepokoje odczuwają dziś w zetknięciu z globalną cywilizacją swobody, rywalizacji i komercji nie tylko chrześcijanie, ruchy fundamen-

styczne nabierają siły także wśród żydów, muzułmanów, hinduistów, a nawet buddystów. Bywa, że zawierają one taktyczne przymierza, jak na przykład w kampaniach wyborczych w USA lub w ONZ w sprawach polityki prorodzinnej. Już po wyborze kardynała Josepha Ratzingera na papieża prawosławny biskup Hilarion Alfiejew – delegat Cerkwi rosyjskiej do kontaktów z Kościołami Unii Europejskiej – złożył w wywiadzie dla katolickiego miesięcznika „Inside the Vatican” ofertę podobnego sojuszu pod adresem Benedykta XVI: „Ufam, że Kościół katolicki będzie nadal walczył z liberalizmem, sekularyzmem i relatywizmem w Europie i poza nią (...). W tym celu zaproponowałem niedawno stworzenie Sojuszu Katolicko-Prawosławnego”.

Papież Benedykt i biskup Hilarion nie byli fundamentalistami pokroju amerykańskich telekaznodziei. Są konserwatystami. Ratzinger odrzucał pomysły budowania państwa Bożego na ziemi, ale zarazem ostrzegł, by obrony „wartości nieprzemijających i zdolności rozumu do przyjmowania prawdy” nie piętnować jako fundamentalizmu. Z kolei pod hasłem walki z dyktaturą relatywizmu, użytym przez Ratzingera tuż przed wyborem na papieża, na pewno mogliby się podpisać współcześni fundamentalisci.

U progu nowego wieku rysuje się więc pewna wspólnota poglądów, idąca w poprzek historycznych i organizacyjnych podziałów w chrześcijaństwie. Polega ona na odrzuceniu tego, co Jan Paweł II nazywał cywilizacją śmierci albo co zwyczajnie chrześcijanie w różnych Kościołach nazywają światem bez Boga i Dziesięciu Przykazań. Jeśli to ponadkonfesyjne zbliżenie sił konserwatywnych i fundamentalistycznych utrzyma się i umocni – a sprzyja mu dziś wiele ruchów, mediów i przywódców – nastąpi istotna zmiana.

Nie znaczy to, że spory w rodzinie chrześcijańskiej ustaną. Będzie trwała ofensywa religii amerykańskiej już dziś wypierającej Kościół katolicki z Ameryki Łacińskiej. Protestantyzm i prawosławie nie wyrzekną się swej tożsamości. Nie zniknie z dnia na dzień nurt liberalny w głównych Kościołach – zwłaszcza w Europie Zachodniej.

Po moim artykule o wojnach między religiami („Kolorowe Madonny”) dostałem list z Londynu od wieloletniego publicysty religijnego paryskiej „Kultury” Antoniego Pospieszalskiego. Pisał: „Religia ma sens tylko, jeśli Bóg też jest w nią jakoś zaangażowany. Z drugiej strony jednak, Bóg nie jest dyktatorem i pozostawia ludziom wolność działania. Obecny kryzys chrześcijaństwa należałoby raczej interpretować jako kryzys wzrostu niż upadku – wymaga tego właśnie wiara w Boga”. Jeśli pan Antoni, rzecznik chrześcijańskiego optymizmu, ma rację, dzikie ziele fundamentalizmu nie przeżyje chrześcijaństwa; Kościoły zostaną wierne orędku pokoju i miłości, nie dadzą się wciągnąć w ideologiczną wojnę i polityczne kampanie. Przekonamy się o tym za minutę, może za pół. ♦

SKĄD WZIĄŁ SIĘ BÓG?

KSIAŻKA „BÓG UROJONY”
RICHARDA DAWKINSA, BRYTYJSKIEGO
BIOLOGA, TO W ZAMIERZENIU AUTORA
ANTYRELIGIJNE OPUS MAGNUM. GDY
ZDJAĆ Z PIEI JEDNAK PUBLICYSTYCZNA
OTOCZKĄ, W MOCY POZOSTAJE PYTANIE
O GIEPEZĘ RELIGII.

MARCIN ROŹKIEWICZ

Problem był rozważany od bardzo dawna (swoje teorie formułowali m.in. Wolter, Freud, Durkheim), ale dopiero narodziny teorii ewolucji i spojrzenie na człowieka z perspektywy jego biologicznego (a więc przede wszystkim genetycznego) dziedzictwa wydawało się dawać do ręki narzędzia pozwalające rozwikłać zagadkę religii. Okazuje się jednak, że problem jej genezy to twardy orzech do zgryzienia, na którym również Dawkins połamał sobie zęby.

HIPOTEZA: UMYŚLOWY PASOŻYT

Brytyjski uczony jest przekonany, że z ewolucyjnego punktu widzenia religia nie ma sensu. Nie służy ani pojedynczym osobnikom, ani całym społecznościom, bo przemoc, jaką wywołuje, przynosi więcej strat niż zysków. Jak zatem wytłumaczyć jej wszechobecność? Wiara jest umysłowym wirusem, sprytnym memem. Pojęcie to ukuł przed laty sam Dawkins; mem byłby umysłowym odpowiednikiem genu, potrafiącym powielać się, przeskakując z umysłu na umysł.

Religijne memy wykorzystują pewien umysłowy mechanizm. „Dobór naturalny wbudował w dziecięcy mózg skłonność do wierzenia w to, co mówią rodzice i starszyzna plemienna. Takie posłuszeństwo oparte na zaufaniu sprzyja przeżyciu. Od posłuszeństwa opartego na zaufaniu blisko jednak do bezwarunkowego podporządkowania, a skutkiem tego jest podatność na zarażenie umysłowym wirusem. (...) A, co wielce prawdopodobne, dziecko, gdy dorośnie i samo dorobi się potomka, przekaże mu (lub jej) to wszystko, co samo wie – i wiadomości pożyteczne, i bzdury – z tą samą zaraźliwą powagą i wiarą” – pisze Dawkins w „Bogu urojonym”.

Z jego teorią genezy religii są jednak co najmniej dwa problemy. Pierwszym jest memetyka, czyli dziedzina mająca badać memy. Analogia z genetyką jest naciągana. O ile w przypadku genów dokładnie wiemy, jak się powielają, co jest ich materialnym nośnikiem, za jakie cechy odpowiadają, jakim sposobem

zakodowana została w DNA informacja, o tyle w przypadku memów pojawiają się same znaki zapytania. Nie wiadomo nawet, czym dokładnie miałyby one być – pojedynczym słowem, zdaniem, całą myślą czy czymś jeszcze bardziej złożonym. Co dokładnie jest materialnym nośnikiem memów (odpowiedź, że tkanka nerwowa w mózgu, jest zbyt ogólna). A religia, czy składa się z wielu memów (a może jest pojedynczym supermemem), a jeśli tak, to jakich? Podsumowując: twierdzenie, że religia to mem, wyjaśnia bardzo niewiele.

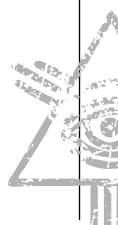
Dawkins nie tłumaczy również, dlaczego wiara w Boga/bogów – jeśli jest bzdurą przekazywaną przez rodziców dzieciom – ma tak ogromną siłę oddziaływania i jest tak powszechna? Co powoduje, że różne inne „bzdury” aż tak łatwo się nie powielają i nie są przekazywane z pokolenia na pokolenie? Postrzeganie dzieci jako bezwolnych skrzynek, do których rodzice wkładają dowolne treści, jest co najmniej wątpliwe. I dlaczego dzieci, kiedy już dorosną, nie buntują się powszechnie przeciw „religijnym głupotom” przekazanym przez rodziców, tylko dalej je kultywują, wkładając w to wiele wysiłku.

HIPOTEZA: PRODUKT UBOCZNY

Dawkins prawdopodobnie zdaje sobie sprawę ze słabości własnej koncepcji. Dlatego w „Bogu urojonym” w pewnym momencie przyznaje, że jego hipoteza „użytecznej łatwowierności dziecięcych umysłów” stanowi tylko jedną z prób wyjaśnienia zagadki genezy religii. Przywołuje poglądy uczonych, którzy nie wspierając się memetyką także postrzegają wiarę w Boga jako uboczny produkt naturalnych psychologicznych predyspozycji człowieka.

W gronie tym znajduje się m.in. prof. Steven Pinker, słynny neuropsycholog z Uniwersytetu Harvarda. W rozmowie z „Polityką” (2005 r.) mówił on, że „religia może być produktem ubocznym umysłu, tzn. takich jego funkcji, jak przypisywanie myśli





i uczuć innym osobom. Człowiek potrafi wyciągać wnioski na temat stanu umysłów innych ludzi, nawet jeśli nie widzi tych osób. A stąd już tylko mały krok do przypisywania zdolności myślenia rzeczom, które nas otaczają. Ponadto, według Pinkera, istnieje w nas wrodzona skłonność do dostrzegania projektu – jeśli patrzymy np. na zegarek, to myślimy, że musiał go zaprojektować i wykonać jakiś konstruktor. Podobnie się dzieje, gdy obserwujemy otaczającą nas przyrodę – jesteśmy skłonni twierdzić, że stanowi ona dzieło jeszcze większego konstruktora.

Podobnego zdania jest Pascal Boyer, francuski antropolog pracujący w Centre National de la Recherche Scientifique oraz na Uniwersytecie w Waszyngtonie. W wydanej, również po polsku, książce zatytułowanej „I człowiek stworzył bogów...” pisze on, że ludzka psychika składa się z podzespółów odpowiedzialnych za specyficzne funkcje. W toku ewolucji wykształcił się na przykład system wykrywania potencjalnych źródeł zakazów, stąd wzięły się religijne tabu dotyczące nieczystego jedzenia czy rytuał obrzezania. Z kolei moduł służący snuciu domysłów na temat tego, co mogą wiedzieć inni ludzie (np. o mnie samym) oraz jakie mają intencje, zrodził przekonania o istnieniu duchów czy demonów, dysponujących wiedzą na temat każdego naszego uczynku. Z kolei wrażenie stałej obecności jakiejś nadprzyrodzonej istoty to sprawka nadplanowej aktywności systemu wykrywania drapieżnika.

Brytyjski biolog i popularyzator nauki Matt Ridley upatruje źródeł wiary w głęboko zakorzenionym w naturze ludzkiej instynkcie wzajemności i wymiany. Jeśli ja daję coś tobie, to oczekuję rewanżu. „Często i powszechnie antropomorfizujemy świat przyrody jako system społecznych wymian. (...) Jeśli cieszymy bogów – ofiarami, darami żywności czy modlitwami – oczekujemy, że nas nagrodzą zwycięstwem w wojnie, dobrymi zbiorami czy biletem do rajy” – pisze Ridley w książce „O pochodzeniu cnoty”.

HIPOTEZA: SPOŁECZNY KLEJ

Hipoteza produktu ubocznego nie jest jednak dominująca wśród ewolucjonistów. Wielu sądzi, że wiara w świat nadprzyrodzony pojawiła się, gdyż jej wyznawcy byli faworyzowani przez

dobór naturalny. A to oznacza, że religia musiała przynosić im bardzo wymierne korzyści w toku walki o byt.

Tak twierdzi m.in. amerykański ewolucjonista David Sloan Wilson z Binghamton University. Uważa on, że plemię, które potrafiło stworzyć religię nakłaniającą jego członków do nieustępliwej walki, obrony swoich za wszelką cenę, przestrzegania zasad wewnątrz grupy, wygrywało w konkurencji z niereligijnymi plemionami. Koncepcja ta ma jednak tę słabość, że odwołuje się do teorii doboru grupowego. Według niej w walce o byt rywalizują nie jednostki, ale całe grupy. Te, które okażą się lepiej przystosowane, przetrwają, a słabsze z czasem znikną. Kłopot z doбором grupowym jest taki, że jednostki poświęcające swój interes na rzecz ogółu są narażone na działanie oszustów. Można to zobrazować tak: gdy jedni będą bohatercko ginąć za plemię, inni sprytnie zadekują się na tyłach. Z czasem liczba spryciarzy wzrośnie tak, że osłabi grupę.

Dlatego Robin Dunbar, profesor psychologii ewolucyjnej na University of Oxford, stara się unikać pułapek związanych z hipotezą doboru grupowego, choć również postrzega religię jako silne spoiwo społeczne. Swoje rozważania na temat genezy wiary – opublikowane m.in. na łamach tygodnika „New Scientist” – rozpoczyna od endorfin, czyli tzw. hormonów szczęścia, które potrafią m.in. uśmierzać ból. Wydzielają się one w trakcie wysiłku fizycznego, ale ich poziom bardzo wzrasta również wtedy, gdy uczestniczymy w grupowych rytuałach. Mózgi kibiców piłkarskich, ludzi aktywnie uczestniczących w nabożeństwach czy członków plemienia oddających się ekstacyznym tańcom wokół ogniska wypełniają się tymi substancjami.

Dlaczego jesteśmy zachęcani w ten sposób do odbywania grupowych rytuałów? *Homo sapiens* to – podobnie jak np. szympansy – gatunek społeczny. Sukces jednostek zależy od jakości współpracy w ramach grupy. Dlatego w toku ewolucji pojawiły się mechanizmy wzmacniające kooperację. Wśród małp służy temu *grooming*, czyli wzajemne iskanie się oraz przytulanie. Spełnia on jednak swoją rolę w małych grupach, a ludzkie społeczności z czasem zaczęły się rozrastać. Dlatego narodziły się rytuały, takie jak np. tańce wokół ogniska i muzyka. Jak silnie może działać ta ostatnia, pokazało pewne badanie – w trakcie koncertu do urządzenia monitorującego tętno podłączono słynnego dyrygenta Heberta von Karajana. Puls zmienił się mu w zależności od nastroju muzyki, a nie wysiłku wkładanego w kierowanie orkiestrą.

Do dziś m.in. południowoafrykańskie plemię Kung San nawiązuje więzi społeczne rozładowuje poprzez wspólny taniec wprowadzający w trans. Z kolei Maringowie z Nowej Gwiney nie mają przywódców, którzy mogliby wydać rozkaz ruszenia na wojnę z sąsiednim plemieniem. Gdy pojawi się taki pomysł, urządzają rytualny taniec. To, ilu mężczyzn się do niego przyłączy, pokazuje, czy uda się zebrać wystarczająco silną grupę, by ruszyć na wyprawę.

Ale by takie rytuały spełniły swoją rolę, trzeba nakłonić wszystkich do brania w nich udziału. Stąd, zdaniem Dunbara, pojawiły się wierzenia religijne, które powołując się na nadprzyrodzone moce i obiecując obcowanie z nimi nakłaniały do uczestnictwa w obrzędach spajających grupę.